

# Kronika

## tygodniowa

Tak się zatem złożyło, że kronikarz, choć wybierał się przed dwoma tygodniami w podróż w różne strony świata, został w Krakowie, a to z powodów, łatwo każdemu zrozumiałych.

Na pierwszym planie była naturalnie podróż do Rygi, aby wejść w bliższe stosunki z przewodniczącym bolszewickiej delegacji panem Adolfem, synem Abrahama Joffe i dowiedzieć się od niego, ale tak „pod chajrem“, czy sowieci mają wogóle ochotę do zawarcia pokoju, czy też kręcą tylko, sądząc, że im dłużej da się im przewlec sprawę, tem dla nich lepiej. Niestety, codziennie innej treści telegramy pojawiały się w naszych piśmie politycznych. Raz donosił „nasz korespondent warszawski“, że dowiedział się od wóźnego prezydyalnego w ministerstwie spraw zagranicznych, że polska delegacja już jedzie, że tezy pokojowe są już przygotowane, sek tylko w tem, jaką drogę obrać, aby w samej rzeczy dojechać na miejsce, a nazajutrz zaraz pojawia się wiadomość w tem samem piśmie i na tym samym drucie, że „rosyjska delegacja, która już do Rygi wyjechała, stanowczo tam nie pojedzie“, prawdopodobnie z powodu zbliżających się świąt Nowego Roku, Świąt Nowego Roku, Świąt Nowego Roku. Dobrze więc robi polska delegacja, że się zbytnio nie spieszy, a w jej ślady wstępuje i kronikarz i czeka. Zgodzą się, to dobrze, gdy jednak do nas przyjdzie o tem wiadomość, będzie już zapóźno na wybranie się, wobec czego odpada ten kierunek podróży. Zostaje zatem droga do Aix-les-Bains, gdzie Millerand miał się zjechać z Giolittim i poruszyć różne sprawy, między innymi zaś i stosunek Koalicji do zatargu polsko-bolszewickiego i jego rozwiązania.

Zrównoważony człowiek zastanawia się zwykle (a przynajmniej powinien!) nad tem, co ma uczynić, zwłaszcza, jeśli jest to rzecz większej wagi. A taka jazda do Francji w celach politycznych, to chyba każdy przyzna, nie byleco! Namyślał się też kronikarz, czy ma się wybrać, czy też nie, a, że się z zasady spieszyć nie lubi, doczekał się w piśmie codziennych telegramów, donoszących o tem, że Millerand z Giolittim zjechali się, że rozmawiali w cztery oczy i rzecz prosta, poruszyli w rozmowie bardzo ważne kwestye. Jak się zdaje, musieli dojść do porozumienia, obaj bowiem mieli miny bardzo zadowolone.

Aby się tyle dowiedzieć, nie opłacił się tłuc aż do Aix-les-Bains. Zupełnie wystarczą, gdy się człek dowie o tem na „czułym“ drucie.

I do Paryża nie było jechać po có, ani do Londynu, skąd już Kamienie-Rosenfeld się ulotnił, pozostała jedynie droga do Szwajcaryi wraz z Millerandem. Trudno przecież narzucać się z swem towarzystwem, skoro sam nie zaprasza do wzięcia udziału w jego podróży.

Pojechał zatem sam, a kronikarz został w Krakowie razem z Weroniką, ciesząc się, że w dniu następnego września oclepiło się znacznie, co się każe spodziewać, iż, o ile się znów nie osiębni, będziemy mieli na kłóść Czechom, Niemcom, Moskalom, Anglikom, Ukraińcom i innym „neutralnym“ przyjaciółom, piękną polską jesień, zagwarantowaną nam w postanowieniach traktatu wersalskiego.

Pogody zaś potrzebujemy koniecznie, aby móc dokończyć zbiorów, potrzebnych nie tylko — raczej „nie tyle“ — dla nas, jak dla przyjaciół i opiekunów. Takie n. p. buraki cukrowe przeznacza się wyłącznie dla zagranicy. Pan Grabski załatwia właśnie pertraktacje handlowe w Paryżu, płaci zaś — cukrem i naftą, bez których obejść się musimy, słodząc sobie żywność sacharyną, a na światłość i to wielką, czekając po najdłuższem życiu.

I teraz dopiero widzimy, jak to dobrze dla nas, że nie otrzymaliśmy karwińskiego zagłębia węglowego. Mielibyśmy kłopot i z węglami, a tak mamy tylko z naftą i cukrem. A i nafta nie jest taka pewna, gdyż dyrektor c. k. Ukrainy, Petruszewycz, utrzymuje, że to, jak można poznać nawet po zapachu, nafta ukraińska! Lloyd George, broniący stale stronę mniejszości (o ile się to zgadza z jego interesami...), jest zupełnie tego samego zdania.

Na razie sami obywamy się bez nafty i cukru (szewc chodzi zwykle w podartych butach...), płacąc nimi zagranicy, więc też musimy się starać, by było czem płacić, skoro brak nam „złota, srebra oraz miedzi...“

Im zatem pogoda będzie piękniejsza, tem pomyślniejszy będzie zbiór buraków, co zaś za tem idzie, będzie i cukru więcej, a stosunki między Polską a Koalicją osłodzą się wybitnie.

Pogody i ciepła potrzeba nam także ze względów czysto osobistych. Na sprawienie ciepłego płaszcza, parasola i kaloszy potrzebny jest nadzwyczajny kredyt w kwocie co najmniej pięćdziesiąt tysięcy marek. Dziennikarz może o tych niedostępnych dla przedmiotach śnić jeno z taką przyjemnością, jak tyś, gdy mu się zdaje, że go strzygą.

Kalendarz stuletni zapowiada wprawdzie piękną jesień, meteorologowie, tak fachowi jak przygodni, powtarzają to samo, ale tak pierwszy, jak i drugi mogą się mylić. Przepowiednie meteorologiczne mają to do siebie, że się spełniać nie lubią.

Podniesienie się temperatury przyjeżdżamy też z radością do wiadomości i zaczęliśmy się nad tem zastanawiać, komu i czemu mamy ten fakt zawdzięczyć. Jedni byli tego zdania, że to zachodnie wiatry, których ani Czesi ani Niemcy nie mogą powstrzymać, to zdziały, inni przypisywali to południowym powiewom od strony Węgier, które rade byłyby mieć w Polsce sprzymierzeńca na wypadek dojścia do skutku sklerowanej przeciw nim „małej ententy“ (Czechy, Rumunia, Jugosławia). Wątpliwości rozstrzygnął dopiero „Kurier“, donosząc o pojawieniu się w konstelacji Łabędzia nowej gwiazdy, nazwanej też *Novą*, należącej do gwiazd światłości drugiego stopnia, a wykazującej na swej powierzchni temperaturę sześć tysięcy stopni.

Czytając o podobnie wysokiej temperaturze, która wystarczy do poparzenia sobie palców lub ugotowania klusek z mąki amerykańskiej (o ile ją kto dostał!), dochodził się do przekonania, że tam, gdzie ta gwiazda świeci (a raczej gaśnie, gdyż obecnie leży się już do gwiazd czwartego rzędu!) niema ani inspektoratu węglowego, ani Urzędu zaopatrywania ludności w węgiel. Wobec takiej ciepłoty łatwo się obejść bez opalu.

I ta właśnie gwiazda *Novą* wpłynęła na podwyższenie temperatury na ziemi i część jej za to i chwala, ale zarazem i gorące współczucie, że z drugiej rangi spadła już do czwartej, a, maluczko, zniknie zupełnie z horyzontu i to właśnie wtedy, gdy będzie najpotrzebniejszą...

Zwykły los gwiazdy!... Świeci, świeci, potem gaśnie. Taki los jest udziałem nie tylko gwiazd niebieskich, ale i ziemskich. I ziemskie spadają nieraz coraz niżej i nieraz kończą... w rynsztoku.

To wszystko, co wyżej powiedziano, miało być jedynie wstępem do narzekania na obecne stosunki. Wstęp powinien być krótki, i ten byłby też z pewnością takim, gdybyśmy nie potrzebowali latać po niebie w pogoni za nowymi gwiazdami. Na zakończenie starczy reszta miejsca.

Narzekaliśmy w ubiegłym tygodniu na zawrotną wprost wysokość cen, które w przeciwieństwie do gwiazdy *Novą* z każdym dniem rosną. Warto się zatem nad tem zastanowić, co też jest tego przyczyną.

Jeżeli się przypatrzymy zbliska obecnemu społeczeństwu, dojdziemy do przekonania, że głównym powodem zwiększającej się coraz bardziej drożyzny, jest wzmagać się z każdym dniem spekulacja. Dziś handlowi poświęca się każdy, nawet taki, któremu się o tem przedtem ani nie śniło!... Chyba kompletnie niedołężni, lub zbyt bojący się kryminału, nie biorą się do niego. Każdy chce być pośrednikiem, a za to swoje pośrednictwo każe sobie płacić, co znów odbija się na kieszeni konsumenta, muszającego opłacić cały łańcuch mniejszych i większych paskarzy.

Jeśli kto spytał, czemu ci ludzie handlują, odpowiedź łatwa. Wszystklem, co im wpadnie pod rękę. Kamienice, dzieła sztuki i kosztowności, artykuły spożywcze i t. d. znajdują zawsze odbiorców, nie brak zatem i pośredników ze wszystkich sfer społecznych. Nawet mał, załatwiający dla swej żony jakieś zakupno, stara się na tem zarobić.

I rodzaj żeński dąży na tem polu do równouprawnienia, a przedstawicielki płci nadobnej zabrały się z całą energią do paska, pośrednictwa i t. d.

Kronikarz miał niedawno sposobność obserwować takiego anioła w spółnicy, który niedziele i święta obraca na ocieranie łez nieszczęśliwym, to jest bierze czynny udział w urządzaniu kwiatków, festynów i t. p., dni zaś powszednie poświęca mniej wzniosłym zajęciom, mającym na celu... interes.

Pewien agraryusz z pod Krakowa, któremu wojna zrobiła bardzo dobrze, nie wiedząc, co zrobić z pieniędzmi, a mając „węch“, że szalenie pójść w górę, kupił w Krakowie coś ze trzy kamienice. Ale wnet się przekonał, że to zajęcie nie dla niego, użycie się z magistratem, lokatorami i t. d. i, gdy tylko w samej rzeczy podniosły się w cenie, postanowił je sprzedać. Przyjeżdżał do Krakowa co wtorek i piątek, a z chwila, gdy się tylko w mieście pokazał, nie odstępowała go gromada pośredników, różnego wieku i wyznania, różnego rodzaju, między nimi ów anioł w spółnicy, o tak miłośniernem sercu. Ale w tym wypadku miłośniernego serca nie okazywał wobec swej ofiary, przedkładając go swem ciąglem towarzystwem, w obawie, by nie wpadł w ręce innego pośrednika.

Ostatecznie kamienice sprzedano, anioł, o ile do tego dopomógł, schował do kieszeni swe honorarium za pośrednictwo i z pewnością dalej prowadził podobne interesy, ale już w innych stronach.

„Nieruchomość“, choć tak się nazywa, dzięki obecnym stosunkom rusza się przecież, a nawet „podskakuje“ w cenie, przechodzi bowiem z ręki do ręki, naturalnie po coraz to wyższej cenie i przy pomocy pośredników, którym trzeba za to płacić, więc też i oni, można śmiało powiedzieć, przyczyniają się do ich podniesienia. A jest ono mniej więcej takie, jak zapalki, które na razie kosztują tylko o... dwieście osmdziesiąt pięć razy więcej niż przed wojną (licząc procentowo, dwadzieścia ośm tysięcy pięćset procent!...) Takich zaś pośredników kupna i sprzedaży jest mnóstwo, zajmują się tym tylko dodatkowo przy prowadzeniu rozmaitych innych interesów, nie dla swej korzyści, broń Boże, lecz aby dopomóc tym, którzy bez nich nie daliby sobie rady.

Na punkcie handlu i pośrednictwa zrównały się też wszystkie stany i zawody. Handlują i spekulują na mniejszą lub większą skalę „prywatni“, urzędnicy, rękodzielnicy i, rzecz oczywista, kupcy zawodowi. „Korzennik“ dostarcza materii na ubrania i butów, „szmaciarz“ cukra i innych artykułów spożywczych. Wdzieliłamy urzędników rządowych, autonomicznych i prywatnych z kieszeniami, wypchanymi próbkami różnych towarów, które oferowali na sprzedaż w imieniu innych, większych pośredników. Im dalej na południe tem handel bardziej ożywiony, a główna giełda znajduje się na Kazimierzu u Spatza, z filiami we wszystkich żydowskich kawiarniach. Słowem, świat dziś jest pod znakiem „paska“. Dawniej używał go proletaryat do podtrzymywania „niewymownych“, chorzy znali paski rapturowe, studenci paski na kółnierzu, jednoroczni na rękawach, a pobożni paski św. Franciszka. Dziś jest pasek ogólnie w modzie, stanowiąc cel życia dwięćdziesiątą dziewięć procent ludności.

I gdyby to bodaj taki paskarz ustanowił sobie jakąś granicę i powiedział: „dotąd, a nie dalej!“... Ale on, doszedłszy do upragnionego miliona, paskuje dalej, twierdząc, że „od przybytku głowa nie boli“. Ta zachłanność bywa też często przyczyną katastrofy. Raz się wreszcie spekulantowi noga powinie, dostaje się w objęcia Urzędu walki z lichwą, a przy jego pomocy do kryminału, w którego marach gromadzi się coraz bardziej dobrane towarzystwo, w którym radcy cesarscy i nie cesarscy nie należą do rzadkości.

Aby jednak tam się znaleźć, trzeba „mieć pecha“. Kto się urodził pod szczęśliwą gwiazdą, operuje swobodnie.

Takim pechowcem był pewien urzędnik pewnej krakowskiej instytucji, którego handel wojenny doprowadził pod opiekunów skrzydła św. Michała Archanioła. Gdy jego ojca zapytywano, co ze synem słychać, odpowiadał:

— Niepoń był zawsze!... Teraz dopiero wziął się do a c z e i w e j pracy, ale widocznie nie ma szczęścia!...

I westchnął z boleścią, świecąc o tem przeświadczone, że los skrzywdził jego obiecującego potomka.

Handel nie jest obcy i tym, którzy z urzędu walczą z lichwą i wyzyskiem. Wychodzą oni z założenia, że „kto kościółowi służy, ten z kościoła żyje“. I dobrze im z tem.

To wszystko, co zarabiała w „uczciwy“ sposób pośrednicy, musi zapłacić konsument, ponieważ zaś dochody jego nie zwiększają się w ten sposób, jak ceny najniezbędniejszych do życia artykułów, musi szukać ratunku w wyszukiwaniu sobie innych źródeł dochodu, a jedyną deską ratunku staje się dlań pasek.

Są zatem paskarze z chciwości, ale są i z masu i tym ostatnim można to w ostateczności przebaczyć, bodaj częściowo, boć każde stworzenie ratuje się w kłopotcie jak potrafi.

Słyszysz się także ciągle narzekania na wyzysk, na jaki narażeni są ci, którzy muszą się zdać na łaskę i niełaskę restauratorów i kawiarni, to jest ci, którzy własnego gospodarstwa domowego nie prowadzą. Szczęście ramy niniejszej kroniki nie pozwalają kronikarzowi omówić solidarności naszych restauratorów i kawiarni prowadzonej w celu wyzysku konsumentów, polecamy ich zatem gorąco Urzędowi walki z lichwą.

Wszystklem jednak winien ów nieszczęsny pasek!... I nie przestaniemy stękać, jęczeć i płakać, dopóki się nie znajdzie jakiś nowoczesny Herkules, który zdecydowałby się urwać łeb tej hydrze.

Czekamy nań, jak na zbawcę, ale czy doczekamy się?...

